



♦ 3 ♦

PAŁAC W ZŁOTKOWIE

MAJRANA

**MINEŁO KILKA TYGODNI.** Królowa, jak każdego ranka, usiadła przed lustrem i zaczęła szczotkować włosy. Były złociste, długie, układały się w miękkie, błyszczące loki. Nikt w królestwie nie miał włosów o takiej barwie. Jedynie ona, Tulipanna i Garland. Inni mieli czarne, brązowe, rude, a nawet i jasne, ale złotych nie miał nikt.

Każdego ranka do komnaty królowej przychodziła Zuzeta, pokojówka, która od lat dbała o uczesanie Majrany. W zależności od planowanych wydarzeń był to elegancki kok na czubku głowy lub nad karkiem, warokcz puszczony luźno lub upięty w koronę, a czasami swobodnie rozpuszczone włosy, okazynie przystrojone

fantazyjnie wpiętym kwiatem. Dzisiaj Majrana szczotkowała je chyba z przyzwyczajenia, bo myślami była zupełnie gdzie indziej. Wspominała swoje rozmowy z Imerem. Smutno uśmiechnęła się sama do siebie, mając ciągle w pamięci jego dotyk i miłe słowa, którymi ją obdarowywał. Przypomniała sobie, jak utulając ją, mówił, że ona i jej imię pachną majerankiem. Jakże lubiła spacerować z nim po ogrodzie, lubiła rozmowy, szczególnie przy podwieczorku, i lubiła słuchać, siedząc przy kominku w zimowe wieczory, jak półgłosem czyta... Ale los nie był łaskawy. Została sama i teraz ona musi królewskie obowiązki wykonywać jak najlepiej. A jeśli nie będzie wiedziała, jak postąpić, to przecież ma doradców, ministrów, medicusa Vimosa, a przede wszystkim alchemika Jaruba. „Imer mu ufał” – myślała. „Może więc i mnie nie zawiedzie?” – starała się uporządkować myśli.

Rozmyślenia przerwało wejście Zuzety, ale tuż przed nią wsunął się sekretarz. Miał na sobie luźną, brązową szatę o ujętych w mankiet szerokich rękawach, na głowie również brązowy, marszczony beret, a w rękach, których palce były poplamione inkaustem,

trzymał zwinięty rulon pergaminu, związany czerwoną wstążką i opatrzony grubą pieczęcią.

– Najjaśniejsza pani – skłonił się nisko – to pismo z Faladii. Przez posłańca.

Majrana, nieco zdziwiona, zerwała pieczęć i przeczytała kilka napisanych zdań.

– Król Leander prosi o spotkanie – oznajmiła. – Nie mam powodu odmawiać. Odpisz mu, że mogę się z nim spotkać, za jakieś dziesięć dni. Napisz, że zapraszam do zamku, obiadową porą. Posłaniec niech zaczeka i zanieś naszą odpowiedź. Musimy utrzymywać dobre kontakty z sąsiadami.

Sekretarz ukłonił się ponownie i szybkim krokiem opuścił komnatę, Zuzeta natomiast zaplotła królowej warkocze i upięła w koronę dookoła głowy.

Następnego ranka sytuacja powtórzyła się. Wraz z Zuzetą pojawił się sekretarz z kolejnym listem. Tu wstążka była zielona, ale pieczęć równie okazała. Majrana złamała ją.

– Tym razem król Magnolit z Zadarii chce się ze mną spotkać. Zgodziłam się na spotkanie z Leandrem,

więc i jemu nie mogę odmówić. Może zaprosić obu na ten sam dzień? Rozmowa we troje będzie ciekawsza.

– Pani, jeśli wolno mi wyrazić swoje zdanie – sekretarz pochylił głowę – nie jest to dobry pomysł. Nie wiemy, o czym chcę z tobą rozmawiać i czy przypadkiem nie są ze sobą skłócenie. Wtedy sytuacja stałaby się nader niezręczna. Obawiam się, że niektórzy sąsiedzi tylko czyhają na nasze ziemie. Już na pewno wysłali swoich szpiegów. Królestwo Złociste to łakomy kąsek.

– Masz rację. – Królowa zwinęła usta w rurkę i cmoknęła kilka razy. – Nie wiemy, czy tych dwóch więcej łączy, czy dzieli. Wystosuj odpowiednie zaproszenie, tak by się zjawił w dwa dni po wyjeździe Leandra.





· 25 ·

UCIECZKA

**RAMIZ CAŁY CZAS ODNOSIŁ WRAŻENIE, ŻE KTOŚ ICH OBSERWUJE.** Jechali leśnymi ścieżkami, a kiedy dobiegał ich uszu stukot kopyt Magnolitowej kawalerii, chowali się w gąszcz i czekali, aż ich minie. Wydawało się, że na razie są bezpieczni, ale Ramiz wyczuwał, że ktoś jest w pobliżu. Przeczucia wkrótce się sprawdziły. Kiedy wyjechali na szerszą, trawiastą drogę, z lasu wyskoczyło trzech bardzo hałaśliwych osobników w zielonych ubraniach.

– Uważaj! To seledyni! – zdążył jeszcze wykrzyknąć w stronę chłopca sokolnik, nim napastnicy zdołali ich otoczyć. Dwaj wyróżniali się opalonymi mocno twarzami i dłońmi, nieogolone szczeciniaste brody i policzki

oraz potargane włosy dodawały grozy postaciom. Trzeci był łysy jak kolano, miał szerokie ramiona i byczy kark, a wszyscy jednakowo spiczasto zakończone uszy. Otoczyli Ramiza i Garika, groźnie krzycząc. Ten łysy złapał za uzdę konia, na którym siedział chłopiec.

– Ściągaj czapkę – wycedził przez zęby. – Ale już!

Nagle Mision zarżał i stanął dęba. Niespodziewający się tego Garik poczuł, jak nogi wysuwają mu się ze strzemion i leci w tył. To było ostatnie, co zapamiętał.

Ramiz krzyknął, uderzył piętami w końskie boki, ale dwaj kudłaci dopadli go. Przytrzymując Burasa, ściągnęli mężczyznę z siodła, wykręcili do tyłu ręce i rzucili na kolana. Łysy, nazywany przez kompanów Nordim, zostawił nieprzytomnego Garika, wykonał w stronę Ramiza jakiś dziwny gest i sokolnik nagle zwiotczał. Nie mógł krzyknąć, nie mógł poruszyć rękami ani nogami, obraz przed oczami się rozmazywał, w uszach zaczęło dzwonić... Poczuł, że zapada w ciemność, jak w głęboką studnię bez dna.

Tymczasem Garik odzyskał świadomość. Ból obtłuczonego ciała był dotkliwy, lecz mimo to musiał szybko podjąć decyzję, dopóki seledyni zajmowali się

krępowaniem Ramiza. Poderwał się i pobiegł w stronę najbliższych drzew. Przedzierał się przez gęste zarośla, mając nadzieję, że gruby dywan mchu i opadłych liści tłumi jego kroki. Kolce chwyciły go za ubranie. Wyrywał się, pochylał, parł do przodu, przyspieszał... Płuca mu pękały, otwarte z wysiłku usta gorączkowo chwyciły powietrze, serce kołatało się jak oszalałe... Nagle z prawej strony usłyszał szelest suchych liści pod czyimiś stopami i poczuł, że ktoś chwyta go za ramię. Garik chciał się odwrócić, krzyknąć... Szarpnął się, ale z drugiej strony dopadł go łysy seledyn. „Następca tronu nie powinien uciekać. Mój ojciec nigdy by nie stchórzył” – pomyślał chłopiec i przestał się wyrywać. Tymczasem łysy osobnik powtórzył dziwny gest i Garik poczuł, że uginają się pod nim kolana i spada na ziemię.

Obaj odzyskali świadomość mniej więcej w tym samym czasie. Leżeli obok siebie pod gęstym krzewem czarnego bzu, który rzucał cień, chroniąc przed promieniami słońca. Ręce mieli skrupowane na plecach, a nogi związane rzemieniami w kostkach i kolanach. Poruszyć się nie było jak, a co dopiero próbować ucieczki. Rozkulbaczone konie stały spokojnie, a napastnicy

pousiadali wokół niedużego ogniska na leżących na ziemi siodłach. Klatka z ptakami leżała nieuszkodzona na ziemi.

– Zarobimy trochę złota, kiedy chłopaka oddamy żołnierzom. Za złotowłosego nagroda obiecana – odezwał się jeden z kudłatych. Ten wyższy.

– Ponoć to królewskie dziecko. Nagroda musi być królewska – dodał drugi. – Narozrabiał pewnie bardzo, że go tak usilnie szukają – dodał drugi.

– Musowo o te złote włosy chodzi – łysy poszturchał patykiem ognisko – jakoś cenne być muszą.

Garik zadrzał. Chociaż dzień był jasny i słoneczny, poczuł się nagle zziębnięty, jakby wpadł do przerebli. „Żołnierze odwiozą mnie do pałacu, a tam już czeka Leander” – rozmyślał. „Nikt się nie dowie, co ze mną zrobi. Mama się nie dowie, a jeśli nawet, to nie będzie mogła mi pomóc. Podobno jest zamknięta w wieży. Tym gorzej dla mnie”. Z oczu chłopca spłynęły dwie słone łzy i spadły na trawę. „Mama mnie kocha. Zawsze przytulała mnie tak mocno, całowała w czoło” – przypominał sobie. „Ja też ją kocham, ale co z tego. Jesteśmy od siebie tak daleko i nie możemy

sobie pomóc. Seledynom nie chodzi o mnie. Liczą tylko na złoto...”

– Garik – wyszeptał Ramiz. – Z tobą w porządku?

– Boli mnie tylko ten guz na głowie...

– Bez gadania, niewolniki – skarcił ich łysy. – Poczekamy dzień, dwa, włoski nieco podrosną, wasza wartość będzie większa. A zapamiętajcie, że seledynom nie umkniecie. Tego nawet nie rozważajcie. Zresztą w lasach bezpiecznie nie jest. Wszędzie szpiegów tyle, że żyć trudno. Polują na was Posłuszni Leandra, Zaufani Magnolita i nie wiedzieć kto jeszcze. Kręcą się gady po lasach i zamęt czynią. Od szelestu liści na ścieżkach uszy bołą, nerwy szarpią, a im się zdaje, że są niewidzialni. W ich łapska was nie damy... Tylko w ręce wojska! Tam służba to służba, rozkaz to rozkaz, a sakiewka złota pewna. Ot i co – zakończył. – Konie napoić trzeba – zwrócił się po chwili do kompanów. – Im też gorąco.

Wstali wszyscy trzej i wzięwszy konie za uzdy, poprowadzili je wzdłuż drogi.

– Mamy trochę czasu – stęknął Ramiz, usiłując zmienić pozycję. – Dzień, może dwa. Coś wymyślimy. Seledyni są uparci i ludziom niechętni. Wabi ich

złoto, drogie kamienie. Mam jeszcze trochę monet, ale to mało, żeby ich przekupić. A jak sami znajdą, to zabiorą bez przyzwolenia. Na razie udawajmy niezbyt przytomnych. Mam nadzieję, że zanim się ściemni, coś wymyślę. Teraz cicho... Cicho... Wracają...





Nikt niczego nie będzie podejrzewał. Zapewne Leander zechce je porwać w trakcie podróży. To dla niego wyśmienita okazja. Dlatego musimy się dobrze przygotować. Opracowałem plan. Na razie każ, królowo, przygotować karetę, zapakować dzieciom trochę odzieży i jedzenia na drogę. Niech powozi Ramiz, a rolę opiekunki przejmie Marcjanna. Obojgu można zaufać. Tego jestem pewien. Na razie nikomu ani słowa. Jutro przed śniadaniem porozmawiam z całą czwórką. Muszą poznać szczegóły. Od tego zależy ich życie. Dziś jeszcze każ uszyć cztery sakiewki... nie cztery, pięć sakiewek i poleć mi je przynieść. To dla nich na podróż i jedna dla ciebie, Majrano. Włożę tam kilka szyszek chmielu, parę listków jemioły, po dwa żołądźce, po trzy kasztany i pokruszony liść czarciwego żebra. Każ im je stale nosić, najlepiej przywiązane do paska. Jedną weź dla siebie. Ochronią przed magią. Nie martw się, królowo, wracaj do swoich komnat spokojna o dzieci. Ja jeszcze trochę posiedzę, by dokładnie przemyśleć szczegóły. Na rano będę gotowy.

---

Ptak przekrzywił głowę, ale się nie poruszył.

– Darrik!

I znowu nic.

– Tirrimi!

Teraz się udało. Gołąb rozłożył skrzydła i zgrabnie wylądował na parapecie. Majrana w pośpiechu odplątała nitkę i wzięła w ręce skrawek pergaminu. Obejrzała z dwóch stron. „Nic nie napisano. Żadnej wiadomości” – zastanawiała się. „Co więc to może oznaczać?”. I nagle przypomniała sobie, że dzieci kiedyś bawiły się w tajemnicze listy pisane sokiem z cytryny. Zapaliła stojącą przy łóżku świecę i przybliżyła pergamin do jej płomienia. Literki zaczęły się wybarwiać i utworzyły wiadomość: „Wyruszamy z Heliantów”.

Majrana najpierw przytuliła list do serca, a potem szybko spaliła go w płomieniu świecy. „To wiadomość od Marcjanny” – pomyślała. „Przynajmniej wiem, że nic im się nie stało”. Zamknęła okno. Gołąb odleciał. W sama porę, bo w zamku zachrobotał klucz. Zjawiła się przysłana przez Leandra pokojówka, by pomóc Majranie ubrać się i uczesać. Kiedy była gotowa, wszedł strażnik.





♦ 4 ♦

PAŁAC W ŻŁOTKOWIE

TULIPANNA

**MARCJANNA OGŁOSIŁA KONIEC LEKCJI.** Garland i Tulipanna mieli już popołudnie tylko dla siebie. Kiedy Tulisia spytała brata, czy nie pograłby z nią w serso, wyduł wargi i oświadczył, że szkoda mu czasu na dziecinadę, po czym skierował się ku stajni. Obojętnie, jeździł konno czy nie, musiał codziennie oporządzić swojego gniadosza: wyszczotkować sierść, rozczesać grzywę, sprawdzić i natłuścić kopyta, a na koniec poczęstować go marchewką i kawałkiem cukru. Raz w tygodniu prowadził go do stawu, aby ten mógł się wykąpać. Naturalnie wolałby do rzeki, ale z oczywistych względów tego zabroniono. Rybodzioby były zbyt

niebezpieczne, o czym przypomniało ostatnie tragiczne wydarzenie.

Osamotniona Tulipanna postanowiła pójść do ogrodu. Przechodząc obok odgradzonego wybiegu dla ptaków, zobaczyła Czarnopiórkę.

– Chcesz iść na spacer? – Zdjęła skobel i leciutko uchyliła furtkę.

– Ko, ko, ko! – Kura otrzepała się z piasku, w którym leżała, i pobiegła ku królownie.

Razem poszły dalej, minęły grządki i rabatki, i znalazły się na ukwieconej łące. Tulipanna zaczęła zbierać kwiaty: stokrotki, jaskry, mlecze, bławatki, kąkole... A kiedy uznała, że już wystarczy, usiadła i uplotła z nich wianek.

Czarnopiórka w tym czasie, nie oddalając się zbyt, przegrze-

bywała ziemię w poszukiwaniu kurzych smakołyków.

